



Potrąwka z gołębi

opowieści z dreszczykiem

Armoryka

Potrawka z gołębi

POTRAWKA Z GOŁĘBI

opowieści z dreszczykiem

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Brunisława (Brunia) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-027-7

Wiktor Gomulicki
POTRAWKA Z GOŁĘBI
(Rok 1674)

Skalistą drogą, jeżdżącą się gdzieniegdzie ostrym kaktusem albo rozzielenioną drzewem oliwkowym, włókł się orszak jezdny, z pięciu osób złożony, a omdlewający od upału i znużenia.

Wszyscy jeźdźcy, z wyjątkiem jednego, siedzieli na mułach; ten zaś, pod którym dumnie stapał dzianet andaluzyjski, wydawał się od razu główną pocztu tego osobistością.

Nie jechał on wszakże na czele, ale we środku orszaku, który otwierały dwie postacie – niezwykle.

Jedna – brzuchata, o rumianej i błyszczącej twarzy, ubrana białą i przestronnie – miała zatknięty za pasem wielki

nóż... kuchenny; przy siodle zaś zawieszone i z brzękiem bujające się: rożen i dwa tasaki.

Druga, szczupła i zwinna, wiozła sakwy rupieciami wszelakimi wyładowane, pod pachą zaś ścisnęła narzędzie wielce podobne do miotły.

Prócz tego obie one dźwigały na plecach potężne, metalowe i ogniście na słońcu połyskujące... trąby.

Zaraz za nimi, na starym, o wypełzłej sierści mule, garbiło się księżysko, brudne i niepoczesne, w sutannie zatłuszczonej i w kapeluszu czarnym ze skrzydłami potwornie wielkimi.

Reszta jezdnych posuwała się w pewnym oddaleniu od tej trójki naczelnej.

Wspomniany już jeździec, na wspaniałym rumaku siedzący, był młodzieńcem, który tylko co zaczął trzeci lat dziesiątek. Na świeżej, starannie ogolonej twarzy nosił on znamię wyższej nad lata dojrzałości; w odzieży zaś jego przebijała stateczność i powaga, rzadkie w dwudziestotrzyletnich paniczach.

Towarzysz jego wydawał się zarazem mentorem i kamratem. Miał lat około czterdziestu, spojrzenie marsowe, a na ogorzalej twarzy miotłasty wąs, podkręcony do góry.

Zamykało orszak dwóch wyrostków z nogami do kolan nagimi i ze szczątkami słomianych kapeluszków na głowach oraz wózek niewielki, w ślepą oślicę zaprzężony, na którym złożone były podróżne tłumoki, naczynia kuchenne i kilka skórzanych worów z winem.

Słońce zapadało już za zębatą ścianę skał, zamykających horyzont; mimo to skwar był taki, że ptak żaden nie odważał się wyfrunąć z kryjówki i zaśpiewać, a ziemia na gościńcu pękała, rysując się czarnymi zygzakami szczelin, z których wyzierały zielono-żółte jaszczurki.

Wśród sennej i milczącej okolicy przesuwali się długo ci ludzie, również milczący i senni, aż wjechali pomiędzy winnice, gdzie pracowało wielu wieśniaków i wieśniaczek.

I z nagłą buchnęła wrzawa okropna...

Czereda śniadych, półnagich ludzi wybiegła na gościniec, wykrzywiając się, podrygując, wytykając podróżnych palcami i wrzeszcząc wniebogłosy:

– Prosięta! prosięta! prosięta!...

Żaden z orszaku nie odpowiedział im; żaden nawet nie spojrział w ich stronę.

Zapał napastników powiększył się; poczęli miotać się wścieklej jeszcze i nie wrzeszczeć już, ale wyć:

– Rogacze! rogacze! rogacze!...

A niewiasta jakaś, o czarnym i wyschłym jak deska łonie, krzyknęła piskliwiej niż inni:

– Trębacze!...

I cisnęła grudkę suchej ziemi w zgarbionego i zafrasowanego księżynę.

A w tejże chwili rzucili się nań wszyscy, szarpiąc go za sutannę, objając mu boki kułakami i wykrzykując do samego ucha najobelżywsze i najwstrętniejsze wyrazy...

Księżulo ani drgnął, jakby nie człowiekiem był żyjącym, lecz manekinem; ludzie też z trąbami, acz czerwoni od tłumionego gniewu, wybuchnąć mu nie dali.

Stoicyzm ten zwyciężył napastników. Wrzaski stawały się coraz umiarkowańsze, pociski coraz rzadsze, wreszcie hałastrą powróciła do roboty i jeźdźcy bez przeszkody odbywali dalszą drogę.

– A co, panie Gurowski! – zawołał ze śmiechem młodzieniec do swego wąsatego towarzysza – czy nie wyborny był mój pomysł? Gawiedź wywarła całą swą nienawiść na przedniej straży, korpus zaś główny zostawiła w spokoju...

– Okazuje to, wielebny kanoniku – odparł również wesoło towarzysz – że zminąłeś się, wasza miłość, z przeznaczeniem. Zamiast przystawać do sług Kościoła, należało raczej objąć ster nad sługami Bellony...

– I Kościół, panie Gurowski, bywa wojującym – rzekł na to, spoważniawszy nagle, młodziutki kanonik.

Byliby dalej ciągnęli dysputę, ale w tej chwili ukazała się przed nimi kępa zieloności, spośród której błyskały tu i owdzie osłepiająco białe lub złotawożółte mury domów.

Jeźdźcy podnieśli głowy; muły wyciągnęły pyski. Ludziom i zwierzętom rozszerzyły się żrenice i rozděły nozdrza. Dla jednych i dla drugich widok domów był rzeczą rozkoszną, od świtu już bowiem, prócz pastuszych szałasów, nie widzieli żadnej ludzkiej siedziby.

Od świtu też i ludzie, i zwierzęta nie jedli nic i nie pili...

– *Reverende!* – zakrzyknął kanonik na zgarbionego księdza.

– A co? – odmruknął tamten, nie odwracając się, po łacinie.

– Czy to miasto?

– Badajoz – wybiegło z ust księdza dobitnie.

Rozkoszny uśmiech jak promień słońca przemknął po wszystkich twarzach. Muły zastrzygły uszami.

– Badajoz – począł objaśniać tonem mentorskim Gurowski – jest jednym z dwojga miast zacnych w prowincji Estremadura. Drugim jest Meriduo. Oba te miasta leżą nad osobliwą rzeką nazwiskiem Gwadiana, która w pół biegu swego wpada pod ziemię i tam idzie na piętnaście mil francuskich. Wychodzi ta rzeka na powrót niedaleko Medilinu, miasta sławnego tym, iż przyszedł w nim na świat Ferdynard Korteż, który...

– Który zawojował Meksyk. Wiemy o tym, czcigodny mój sekretarzu, a zarazem niezgłębiona studnio erudycji, przez ojców Societatis Jesu wszechwiedzą wypełniona! Zamiast nauczać nas, daj lepiej hasło trębaczom, aby zatrzymali się przy pierwszej gospodzie, jaką, wjechawszy do miasta, napotkają.

Zlecenie zostało spełnione i niebawem też przednia straż orszaku muły swe w miejscu osadziła.

Jeźdźcy zsunęli się raczej niż zsiadli z wierzchowców i pożądlwym spojrzeniem ogarnęli front gospody oraz

właściciela jej, który siedział pod werandą, przekładając z ręki do ręki ziarna dużego grochu.

Gospoda była nędzna i odrapana; gospodarz chudy i ponury.

Nad wejściem chwiał się żelazny znak w kształcie kuchennego rusztu, nad nim zaś wypisane było w półkole, krzywymi literami: „Pod Rusztem Świętego Wawrzyńca”.

– Hm, hm – zaśpiewał pod wąsami Gurowski – jakieś świątobliwe karczmiszko...

A biorąc za ramię starego klechę w olbrzymim kapeluszu, pchnął go w stronę gospodarza, mówiąc po łacinie:

– Rozmów się, *reverende*, z tą wędzonką po swojemu o noclegi i o wieczerzę.

Księżyna poszedł, a Gurowski zwrócił się do kanonika:

– Zły omen, wielbny kanoniku. Dotąd spotykaliśmy oberżystów tłustych i uprzejmych, a przecie źle z nami bywało; cóż dopiero spodziewać się można teraz, gdy oberżysta wyschły jest jak półgęsek, a mrukiwy jak kot na przypiecku...

Kanonik tylko frasobliwie głową pokiwał i rzucił miłościwe spojrzenie na wory z winem, wspaniale wydymające się na wózku.

W tej chwili wrócił *reverendus*, prowadząc ze sobą gospodarza.

– Powiedział, że nam da nocleg i wieczerzę.

– Bardzo dobrze. A cóż na stół postawi?

– Niech sam powie.

– Panie oberżysto – odezwał się dość czystą hiszpańszczyzną kanonik – co waśc masz do jedzenia?

– Winogrona – odrzekł uroczyście tamten, nie przestając przekładać z ręki do ręki swego grochu, który okazał się z bliska – różańcem.

– Bodajęś się nimi udławił! – bąknął na stronie Gurowski.

– Co więcej?

– Kawałek wczorajszej ryby.

– Zapewne na starej oliwie?

– Na oliwie.

– I z czosnkiem?

– Z czosnkiem.

– A z mięsa co?

– Dziś piątek.

Kanonik zakłopotał się trochę tym przypomnieniem...

– Co robić? – spytał Gurowskiego.

– Służbę i muły umieścić w szopie, samym w izbie się roztasować, ogień rozniecić, naczynia i wory z winem przynieść, a potem pchnąć wyrostków na miasto, niech szukają prowiantu.

– Dobrze i sprawiedliwie powiedziane.

Za chwilę dwaj improwizowani trębacze uwijali się zwawo po izbie gościnnej; jeden z miotłą, drugi z polanami drzewa i łuczywem.

W jednym rogu izby usiedli kanonik z Gurowskim, w drugim ksiądz hiszpański, zgarbiony wciąż i milczący.

– Grzeszna to rzecz, co powiem – odezwał się Gurowski – ale faską bigosu litewskiego przeciągnąłby mnie teraz, kto by chciał, na luteranizm, że nie powiem na judejską wiarę.

Kanonik uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

– Poskarżymy się na dzisiejszy głód najjaśniejszemu monarsze hiszpańskiemu, gdy będziemy przed nim poselstwo swe sprawiali...

– Ba! Choćby nas i feniksem pieczonym ugościł za tydzień, nie wynagrodzi nam czczości żołądkowej, jaką dziś cierpieć musimy.

– Musimy, bośmy sybaryci, wybrednisie... *Reverendus* kontentuje się tym, co jest, toteż głód prędeż od nas zaspokoi. Patrz waszmość, panie Gurowski, jak to mu oczy się śmieją do rybiego ogonka...

W tej chwili stawiał właśnie oberżysta przed swym rodakiem zachwalaną przez się rybę pływającą w jeziorze oliwy.